

MAGIA spod LADY

SARAH BETH DURST

MAGIA
spod
LADY

Przełożyła MAŁGORZATA KACZAROWSKA

JAG
UAR

Tytuł oryginału: *The Spellshop*

Text Copyright © 2024 by Sarah Beth Durst
Published by arrangement with Tor Publishing Group.
All rights reserved.

Jacket illustration by Lulu Chen
Jacket design by Esther S. Kim

Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Kaczarowska
Redakcja: Marta Tojza
Korekta: Marta Stochmialek, Katarzyna Chmielecka
Skład i łamanie: Robert Majcher
Adaptacja okłádki i stron tytułowych: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Wydawczyni: Natalia Sikora
Redaktorka prowadząca: Anna Salwa
Koordynatorka produkcji: Anna Pawłowicz
Promotorki: Emilia Mazur, Aleksandra Sękowska, Zuzanna Barańska

Copyright for the Polish edition © 2025 by Wydawnictwo Jaguar
Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okłádki w Internecie.

ISBN 978-83-68383-24-9

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2025

JAG Wydawnictwo Jaguar
UAR Imprint Wydawnictwa Marginesy Sp. z o.o.
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a
01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)
[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

Druk i oprawa: **opolgraf** 
DRUKARNIA

Wydrukowano na papierze Hylte Creamy 70/2,0.

Dla Adama

– z miłością i dżemem malinowym



ROZDZIAŁ 1

Kiela nie przypuszczała, że płomienie dosięgną biblioteki. Zdawała sobie mglście sprawę z tego, że większość pozostałych bibliotekarzy uciekła kilka tygodni temu, gdy rewolucjoniści zajęli pałac i dokonali wyjątkowo efektownej defenestracji cesarza. Z pewnością jednak nie tknęłyby biblioteki. Przecież tu były książki! Łatwopalne, niezastąpione książki.

Wielka Biblioteka Alyssium, ze smukłymi wieżyczkami, witrażowymi oknami i labiryntem regałów, była perłą w koronie Cesarstwa Wyp Księżycowych. W jej wspaniałych magazynach znajdowały się gromadzone od wieków traktaty, przekazy historyczne, opracowania naukowe oraz (najważniejsze zdaniem Kieli) księgi zaklęć. Tylko sama elita, śmietanka akademicka dostępowała zaszczytu choćby oglądania tych woluminów, ponieważ prawa cesarskie zezwalały na używanie magii tylko bardzo nielicznym wybrańcom.

Kiela była odpowiedzialna za księgi zaklęć na drugim piętrze we wschodnim skrzydle. Przez ostatnie jedenaście lat pracowała, spała, jadła i mieszkała pomiędzy regałami. To prawdopodobnie tłumaczy,

dlaczego zapach dymu w pierwszej chwili nasunął jej myśl, że po prostu zostawiła tost na kuchence.

Tak na wszelki wypadek w tym tygodniu Kiela wraz ze swoim asystentem Cazem zaczęła pakować część ulubionych książek do skrzyń i przenosić je na jedną z łodzi bibliotecznych, chociaż w głębi duszy nie wierzyła, żeby ewakuacja była konieczna. Siedziała zaszyta pomiędzy zbiorami, z dala od wichrów polityki i przemocy, i traktowała to wszystko jak rozrywkę intelektualną: gdyby miała utknąć na bezludnej wyspie, to które książki przede wszystkim chciałaby mieć ze sobą? Z pewnością *Księgę czarów roślinnych*, kompendium z roku 357 pod redakcją akademików Messembe i Cannina, a także *Manipulacje wzorcami pogodowymi. Studium wpływu efektów pozaklęciowych na behavior rozrodczy maskonura wschodniego*, czyli fascynującą i przełomową pracę, w której...

Caz podciągnął się na liściach do rzędu, w którym Kiela siedziała po turecku przed stosem książek. Jako zielistka miał rozmiar średniej wielkości psa, ale składał się wyłącznie z liści otaczających bryłę korzeniową wypełnioną ziemią. Był najinteligentniejszym asystentem, jakiego Kiela kiedykolwiek miała, choć także – co zapewne nie pozostawało bez związku – najbardziej nerwowym.

– Już po nas – oznajmił. Jego liście szeleściły przy tym tak głośno, że trudno było odróżnić poszczególne słowa.

– Walki nie dotrą aż tutaj – odparła Kiela uspokajającym tonem, który po latach pracy w tym uświęconym miejscu opanowała do perfekcji. Dodała jeszcze jedną książkę do stosu „spakować do piątej skrzyni”, a potem zastanowiła się i przeniosła ją na stos „spakować, tylko jeśli się zmieści”.

Caz potrząsnął nad nią liśćmi.

– Walki już tutaj dotarły. Wyważyli główne drzwi i plądrują Aulę Kinneya.

– Wielkie nieba!

Drzwi do Auli Kinneya były monstrualną konstrukcją z brązu, zabezpieczoną zasuwą z potężnych belek, takich jak te używane do budowy kadłuba statku. Kiela spróbowała oszacować siłę potrzebną do wyważenia dziesięciometrowych wrót, a potem zamrugła.

– Jak to plądrują?

Spodziewała się, że rebelianci przejmą bibliotekę i zawarte w niej skarby – to było jedyne sensowne rozwiązanie – ale „plądrować” ją? To byli bojownicy o wolność, a nie dzikie zwierzęta. W zasadzie nawet się zgadzała z ich celami. Namówiona przez Caza, przeczytała kilka ulotek na samym początku rewolucji i żądanie wolnych wyborów oraz powszechnego dostępu do wiedzy brzmiało całkiem przekonująco...

– Północna Czytelnia się pali – oznajmił Caz. – Podpalili gobeliny, a potem ogień przeniósł się na zwoje.

Kiela poczuła mdłości. Wszystkie te stare manuskrypty!

Caz pociągnął ją liściem za rękaw.

– No chodź, Kielo, musimy uciekać.

Uciekać? Teraz? Ale jeszcze nie skończyła...

– Jeśli spróbujesz zażartować, że zielistki nie są gatunkiem, który ucieka w tym klimacie, to idę bez ciebie – ostrzegł Caz.

Podniosła się z podłogi. Piąta skrzynia była wypełniona tylko w połowie. Kiela wrzuciła do niej naręczne książek, nie patrząc nawet na tytuły.

– Wystarczy, Kielo! – rzucił Caz, gdy pobiegła po kolejne książki, a potem popchnęła skrzynię na kółkach do windy.

Szli szybko pomiędzy regałami, a Kiela czuła ściskanie w sercu, gdy mijali półki pełne cudownych, wspaniałych tomów. W przelocie zdążyła złapać jeszcze kilka swoich ulubionych pozycji.

Gdy dotarli do windy, wepchnęła do środka skrzynię i zamknęła za sobą drzwi. Caz nacisnął liściem przycisk i obrócił korbę. Winda szarpnęła i zaczęła zjeżdżać w dół.

Przemieszczali się pomiędzy piętrami, z których dobiegał szcęk metalu uderzającego o metal, a Kiela czuła, że żołądek zaczyna jej podchodzić do gardła. Nigdy wcześniej nie słyszała odgłosów bitwy, ale знаła dźwięki biblioteki, a tam na zewnątrz wszystko było koszmarnie, całkowicie nie tak. Caz przysunął się do niej bliżej, a Kiela żałowała, że winda nie jedzie szybciej.

Co będzie, jeśli zatrzyma się na jednym z pięter, na którym trwają walki?

Co będzie, jeśli w ogóle się zatrzyma?

Raz za razem naciskała guzik piwnicy, tak jakby to mogło w czymś pomóc. Winda pełzła powoli w dół, szcękając i zgrzytając. Śwąd spaleniżny stawał się coraz silniejszy. Przez zakratowane drzwi Kiela widziała dym snujący się między regałami.

– Powinniśmy byli iść po schodach – powiedział Caz.

– Nie dalibyśmy rady zabrać książek – przypomniała Kiela.

– Nie uratujemy żadnych książek, jeśli będziemy martwi. – Caz trząsł się tak mocno, że kilka listków mu się oderwało i spłynęło na podłogę. – No pięknie, teraz się osypuję!

– Musisz myśleć o czymś innym – poradziła Kiela. – Pioruny częściej uderzają w dęby niż w inne gatunki drzew. Jabłka unoszą się na wodzie, ponieważ składają się w dwudziestu pięciu procentach z powietrza. Można obliczyć temperaturę na zewnątrz, licząc ćwierknięcia świerszczy na sekundę.

– Chyba że na zewnątrz się pali – odparł Caz. – Jak szybko ćwierkają, gdy wszystko stoi w ogniu?

Winda zatrzymała się z szarpnięciem na najniższym poziomie. Kiela otworzyła szybko drzwi, a Caz wąsami obrócił skrzynię. Wypchnęli ją na zewnątrz i wyszli z windy.

Tak głęboko, na poziomie morza, nie było słychać szcępu metalu ani czuć dymu. W powietrzu dominował ciężki rybny zapach kanału

przepływającego pod biblioteką. Całe Alyssium było poprzecinane kanałami i między innymi z tego powodu uchodziło za jedno z najpiękniejszych miast na świecie, klejnot w koronie imperium. Kiela pamiętała, kiedy zobaczyła je po raz pierwszy – była wtedy jeszcze bardzo mała, a jej rodzice żyli. Zachwyciły ją migoczące kanały, mosty z balustradami przypominającymi koronkę, wieżyczki i kwiaty, które pyszniły się na wszystkich balkonach, zwieszały się z okien i okalały drzwi. Teraz się zastanawiała, ile zostało z miasta z jej wspomnień.

Szła pospiesznie wąskim kamiennym korytarzem, pchając przed sobą skrzynię, i nasłuchiwała. Docierał do niej tylko plusk wody na kamieniach i kapanie z przecieku gdzieś w pobliżu. Przed nią znajdowała się przystań.

Łodzie zakotwiczone przy pomostach pod biblioteką były używane do przewożenia książek do wybranych czytelników na pobliskich wyspach i transportowania ich z powrotem do biblioteki. Każda jednostka miała srebrny żagiel, zrolowany i obwiązany ciasno wokół bomu, a także kadłub z drewna czeremchy, na tyle szeroki, żeby pomieścić kilka skrzyń z książkami, ale na tyle smukły, żeby mógł nim sterować pojedynczy bibliotekarz. Sama Kiela używała takiej łodzi zeszłej zimy, aby zawieźć wszystkie tomy *Analizy funkcjonalnej duchów lasu. Fakty i fikcja* autorstwa Cypavii do emerytowanego maga przykutego do łóżka. Poprosił on gospodynię, żeby w podzięcie przygotowała dla Kieli filiżankę herbaty, ale Kiela odmówiła, ponieważ chciała jak najszybciej znaleźć się z powrotem bezpiecznie pomiędzy regałami. *Przynajmniej te książki są bezpieczne.* To była jednak marna pociecha w porównaniu do zagrożonego oceanu wiedzy nad jej głową.

Zapakowała już na łódź cztery skrzynie z książkami, umocowała je pod brezentową płachtą. Teraz ustawiła koło nich piątą i także ją przypięła. Zmieściłyby się jeszcze co najmniej trzy skrzynie, ale nie mieli czasu, żeby po nie iść. Kiela żałowała, że nie wybierała książek

szybciej. Żałowała, że była aż tak wybredna. Żałowała, że nie spakowała więcej zapasów. Przygotowała kilka dzbanów z wodą i słoików z kandyzowanymi brzoskwiniami, worek fasoli i woreczek orzechów. Dla Caza wzięła beczkę ze świeżą ziemią, żeby miał skąd pozyskiwać składniki odżywcze. Ukryła także trochę ubrań na zmianę i na wszelki wypadek kilka czystych notatników. Ale nie opróżniła swojego stanowiska pracy w bibliotece z rzeczy osobistych. Myślała tęsknie o wszystkim tym, co zostawiła – starych pamiętnikach, najlepszym piórze, drewnianej figurce syreny, którą podarowali jej rodzice, gdy była dzieckiem. Ale Caz miał rację: lepiej ratować własne życie. Oraz książki.

Wrócimy, kiedy będzie bezpiecznie, pomyślała. To tylko na pewien czas.

Wsiadła do łodzi, odwiązała cumę i odepchnęła się od pomostu. Wyciągnęła długie wiosło służące do manewrowania w wodnych tunelach. Żagiel owiązany wokół bomu się nie przyda, dopóki nie wypłyną na otwarte wody.

Zasadniczo nie miała pozwolenia na zabranie łodzi. Ani książek. Ani Caza. Ale nie miała już kogo zapytać, więc zapewniła samą siebie, że później, kiedy wróci, będą jej dziękować. To nie była kradzież. To była jej praca: opieka nad kolekcją. *Ja tylko... Poszerzam zakres obowiązków.*

W tunelu używała wiosła, aż wypłynęli na wody jednego z kanałów z mieście.

– To prawdziwy koszmar – orzekł Caz.

Kiela musiała się z nim zgodzić.

Gwiazdy były niewidoczne za kłębami dymu wznoszącego się z mostów i wieżyczek. Płomienie rzucały na wszystko upiorny blask, a kwaśny smak dymu gryzł Kielę w gardło. Czuła, jak z każdym oddechem wdziera się do jej płuc. Jej błękitna skóra w tym nienaturalnym świetle przybrała chorobliwy odcień, a ciemnoniebieskie włosy przesiąkły

zapachem spalenizny. Pod tym względem na poziomie wody w kanałach nie było jeszcze tak najgorzej, ale nic nie mogło ochronić ich przed widokiem i odgłosami śmierci.

Później Kiela wyparła z pamięci większość tej okropnej nocy: wrzaski, trupy w wodzie, strach, który dławił ją gorzej od dymu. Podróż przez kanały ciągnęła się w nieskończoność, a dźwięki roznosiły się po wodzie nawet wtedy, gdy wypłynęli na otwarte morze.

Z pomocą Caza Kiela postawiła srebrny żagiel, gdy tylko zrobiło się zbyt głęboko dla wiosła. Już jako dziecko nauczyła się żeglować, a przez te lata dostatecznie często musiała dostarczać książki, żeby nie wyjść z wprawy, więc na szczęście nie musiała się zastanawiać nad tym, co robi. Jej dłonie pamiętały odpowiednie ruchy, potrafiła złapać wiatr w żagle i płynąć przed siebie, jak najdalej stąd.

Za nimi wielkie miasto płonęło wraz ze swoimi ludźmi (zarówno dobrymi, jak i złymi), a także swoją historią (zarówno dobrą, jak i złą), swoimi książkami i swoimi kwiatami. Kiela wiedziała, że już tutaj nie wróci.



Gdy nad morzem wstało słońce, całe różowe, żółte i pełne nadziei, Kiela postanowiła, że będzie patrzeć przed siebie, zamiast się oglądać. Nikt w Alyssium nie będzie za nią tęsknić – co samo w sobie było dość ponurą myślą. Naprawdę nikt?

Zatopiona w pracy, nie opuszczała biblioteki, nie licząc okazjonalnego dostarczania książek, od... Ile to było lat? Tak, naprawdę lat. Po ukończeniu szkoły przeniosła się po prostu do komórki pomiędzy zbiorami. W ten sposób było prościej. Nie musiała tracić czasu na dojeżdżanie do pracy.

Nie miała w mieście żadnej rodziny, straciła też kontakt z kolegami i koleżankami ze szkoły – oni żyli swoim życiem, a ona wpadła we

własną rutynę. Wszystkie posiłki otrzymywała świeżo przyrządzone o dowolnej porze. Akademicy często pracowali w nietypowych godzinach, więc to samo dotyczyło się także bibliotekarzy. Wystarczyło, że przesyłała zamówienie szybem komunikacyjnym, by niedługo potem pojawiła się winda z jedzeniem. Nie musiała z nikim rozmawiać. Uważała to za system idealny.

Pozostali bibliotekarze... Mieli własne obowiązki na innych piętrach i w innych skrzydłach. Kiela nie lubiła zawracać nikomu głowy, a sama subtelnie – tak subtelnie, że sama tego nawet nie zauważała – zniechęcała innych do zawracania jej głowy. Gdy Łódź podskakiwała na falach, Kiela uświadomiła sobie, że od trzech tygodni nie rozmawiała z nikim oprócz Caza. Ostatnią osobą, do której się odezwała, był sprzątaczkę, którego przegoniła, ponieważ wzbijał kurz w pobliżu wyjątkowo delikatnych manuskryptów.

To nie tak, że nie lubiła ludzi. Po prostu książki lubiła bardziej. Nie narzekały, nie osądzały, nie drwiły ani nie odtrącały. Zapraszały do środka, poprawiały poduszki na kanapie, proponowały herbatę i tosty, a potem otwierały przed tobą serce, nie oczekując, że będziesz robić cokolwiek poza chłonięciem tego, co miały do zaoferowania.

Wszystko to bardzo piękne, ale pozostawiało pewien dylemat: dokąd się udać w momencie, gdy całkiem dosłownie pozostawiła za sobą spalone mosty?

– Caz... – zaczęła.

– Mmm – odparł stłumionym głosem.

Kiela rozejrzała się po łodzi i zobaczyła, że wcisnął się pomiędzy dwie skrzynie i ciasno owinął liśćmi bryłą korzeniową.

– Caz, co ty wyprawiasz?

– Ryby jedzą rośliny – oznajmił.

– Niektóre ryby owszem. – Nie była szczególnie dobrze zaznajomiona z rybią dietą. Wiedziała, że niektóre ryby lubią wodorosty.

Przypuszczała, że jedzą także plankton. Oraz chyba owady? – Niektóre ryby jedzą inne ryby.

– Które jedzą rośliny.

– Chyba tak.

– Wszystko zjada rośliny – stwierdził Caz. – Ale mało co zjada książki. Dlatego właśnie ulokowałem się pomiędzy skrzyniami. Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby szukać świeżej i smacznej zielonej przekąski wśród tylu martwych drzew. Zamierzam zostać tutaj, pośród książek, aż dotrzemy do celu naszej podróży, gdzie jak mam nadzieję, nie będzie ryb, owiec, krów ani kóz. – Wzdrygnął się na wzmiankę o kozach, a Kiela się zastanawiała, czy miał złe doświadczenia z tymi zwierzętami, czy też po prostu o nich czytał. *Prawdopodobnie to drugie*. Rogaczyny z oczywistych powodów nie wpuszczano do Wielkiej Biblioteki.

– Właśnie o tym chciałam porozmawiać – powiedziała Kiela. – Musimy wymyślić jakiś cel podróży.

– Ty... niczego nie zaplanowałaś?

– Nie sądziłam, że naprawdę będziemy musieli uciekać – przyznała. – Wydawało mi się, że w razie czego to będzie kwestia tylko kilku godzin albo dni. Najwyżej tygodnia.

Myślała, że uda im się wynająć dok w porcie na jednej z pobliskich wysp, może na Varsun albo na Ivie, i zatrzymać się na kilka dni w jednym z tych uroczych pensjonatów, w których drobna szlachta uwielbiała spędzać lato.

Liście Caza opadły tak, jakby nigdy nie piły wody.

– Ja także.

Płynęli w milczeniu. To był prześliczny dzień na żeglugę – lekki wiatr, pogodne cytrynowe odbłyски światła na wodzie. W górze przelatowały mewy, poskrzekujące do siebie nawzajem. Rozliczne wyspy Cesarstwa Wysp Księżycowych – o ile ze względu na działania

rewolucjonistów to jeszcze było cesarstwo – z oddali wydawały się spokojne. Chyba że się obejrzało na dym nadal zaciemniający niebo nad stolicą. Szare, białe i czarne klify wznosiły się majestatycznie, a malutkie wioski rybackie wyglądały sielankowo z domami pomalowanymi na różne kolory, bujnymi ogródkami i brukowanymi drogami. Kiela i Caz mogli wpłynąć do jednego z portów i... co dalej? Nie było jej stać na wynajęcie pokoju na dłużej niż kilka dni. Pieniądze, które ze sobą zabrała, nie wystarczą na długo. Nawet jeśli mogłaby pokryć opłaty portowe, nie miała ochoty mieszkać przez cały czas na łodzi.

Postanowiła, że nie będzie panikować. Zastanowi się po drodze. Znajdzie jakąś odpowiedź.

W oddali zobaczyła stado koni morskich unoszących się i opadających wraz z falami. Oddech uwiązał jej w gardle. Pół konie, pół ryby stanowiły cudowny widok. Obserwowała je, urzeczona, gdy galopowały po wodzie. Ich kopyta rozbijały fale, a potężne rybie ogony popychały je do przodu. Pokryte łuskami przypominającymi klejnoty, zbudowane z czystych mięśni, były żywym ucieleśnieniem piękna i siły. *Jak samo morze*, pomyślała Kiela. Jeden z koni potrząsnął grzywą, a kropelki wody załśniły w promieniach słońca rozbłyskami tęczy.

– Caltrey – powiedziała Kiela.

– Słucham?

– To nazwa wyspy.

– Nigdy o niej nie słyszałem.

– Byłabym zdziwiona, gdybyś słyszał – odparła Kiela. – Jest malutka i oddalona od świata. Daleko na północy. Nie leży na żadnym ze szlaków handlowych. Miejscowi hodują konie morskie, które pomagają im w połowach.

Zaciekawiony Caz podciągnął się na skrzyniach i przysiadł na jednej z nich, żeby popatrzeć na morze.

– Skąd ty to wiesz? Nie odpowiadaj... czytałaś o tym.

– Tak właściwie to nie. Tam się urodziłam. – Usłyszała, że jej głos lekko się załamał, i z trudem przełknęła ślinę. Nie myślała o Caltrey od lat; nie miała pojęcia, czemu sama myśl o powrocie budziła w niej tak mieszane uczucia.

Jej rodzice opuścili wyspę, gdy tylko mogli sobie na to pozwolić, aby szukać lepszego losu w stolicy. Chcieli poznać życie w Alyssium i chcieli, żeby Kiela miała przed sobą możliwości, jakich oni sami, dorastający na prowincjonalnej wyspie, byli pozbawieni. Miała wtedy zaledwie dziewięć lat, ale nadal pamiętała wyspę – jej klify, farmy i ogrody. Jedyna tamtejsza miejscowość także nazywała się Caltrey i składała się z trzech brukowanych ulic, młyna przy wodospadzie i szkoły w starej stodole. Kiela pamiętała, jak Caltrey wyglądało w blasku zachodzącego słońca, ze skrzydlatymi kotami przycupniętymi na dachach, i jak o świcie pachniało świeżo pieczonym chlebem. Na wiosnę wszędzie rozwijały się kwiaty – na zadaszeniach, na klifach i na polach. Zimą śnieg pokrywał wszystko grubą warstwą białego puchu. Piła wtedy gorące mleko z dodatkiem czekolady i patrzyła na śnieg padający nad morzem...

– Yyy, Kielo? – odezwał się Caz.

– Wydaje mi się... Mam tam dom.

Wiedziała, że rodzice go nie sprzedali. Tak daleko od centralnej części cesarstwa był wart bardzo niewiele, więc ojciec Kieli wołał go zatrzymać na wypadek, gdyby po nacieszeniu się miejskim życiem szukali miejsca na emeryturę, chociaż matka Kieli za bardzo kochała miasto, żeby kiedykolwiek chcieć wracać. *To chyba znaczy, że odziczyłam ten dom.* Z pewnością nie było nikogo innego, kto mógłby go przejąć. Nie miała żadnej innej rodziny.

– O ile nikt się tam nie wprowadził. I o ile się nie zawalił. Jest mały, to zwykła wiejska chata. Ale...

Był prześliczny. Przynajmniej wydawał się prześliczny, zakonserwowany w jej wspomnieniach, uroczych i delikatnych jak bańki mydlane. Teraz był prawdopodobnie pełen nietoperzy, myszy i niedźwiedzi, a dach zapewne się zapadł.

– Po prostu się nie spodziewałam, że tam wrócę.

W każdym razie nie bez nich.

– Jest tam ładnie?

– Bardzo ładnie. Tak sędzę. Coś się mogło zmienić.

Ja się zmieniłam. Wiele lat temu zniknęły jej amarantowe piegi i niebieskie kucyki, a w zamian zyskała dyplom bibliotekoznawstwa i pakiet skłonności społecznych.

– To niech będzie – zdecydował Caz. – Płynimy na tę twoją wyspę.

Kiela chwyciła wiatr w żagiel i skierowała łódź na północ.

– Tak się tylko upewniam: nie ma tam kóz, prawda?

– Jestem pewna, że na Caltrey nie ma żadnych roślinożernych zwierząt – odparła Kiela, gdy zaczęli przyspieszać. Łódź podskakiwała na falach.

– Wspaniale! Zaraz, czy powiedziałaś to tylko po to, żeby poprawić mi humor?

– Tak – oznajmiła.

Caz burknął coś i wcisnął się znowu między skrzynie pełne książek z zakłęciami, podczas gdy łódź żeglowała na północ, w stronę przyszłości ich obojga i przeszłości Kieli.



ROZDZIAŁ 2

Kiedy słońce zabarwiło horyzont na pomarańczowo, Kiela skierowała się do niewielkiej zatoczki na wyspie Caltrey. Miejsce to było odalone zaledwie o półtora kilometra od wsi i jej portu, ukryte wśród skał i drzew. Kiela poprowadziła łódź pomiędzy głazami.

– Rozbijesz się – stwierdził Caz.

– Nie zamierzam się rozbić – odparła Kiela. – Zamierzam przybić do brzegu.

W zatoczce dawniej znajdował się drewniany pomost przynależny do jej rodzinnego domu. Pamiętała, że siadała na końcu tego pomostu i obserwowała ryby tańczące w wodzie. Podczas odpływu widziała kraby przebiegające po kamieniach, a podczas przypływu syreniątka pływające slalomem pomiędzy palami, dopóki rodzice nie zawołali ich na pełne morze – miejscowi mówili, że ich widok przynosi szczęście. Kiela nie była oczywiście całkiem pewna, czy pomost nadal stoi, ale uznała, że w najgorszym razie rzuci kotwicę i przejdą w bród do brzegu. Albo po prostu wpłynie bezpośrednio na plażę, zakładając, że uda jej się nie uszkodzić kadłuba na skałach.

Z jedną ręką na sterze wmanewrowała łódź pomiędzy skały i do zatoczki. Caz za pomocą swoich wąsów wspiał się na maszt, żeby lepiej widzieć. Słońce było już tak nisko, że zatoczka chowała się w cieniu. Woda przybrała prawie czarny kolor, a drzewa i skalisty klif za nimi rzucały jeszcze więcej cienia. Panowała cisza, jeśli nie liczyć plusku fal o kamienisty brzeg i głosu niewidocznego ptaka siedzącego na którejś z sosen. Jednak pomimo półmroku zatoczka nie sprawiała wrażenia niegościnnego. Gdy wpłynęli w nią głębiej, Kiela miała wrażenie, że cienie otulają ją tak samo jak gruba warstwa koców w chłodną noc.

Zobaczyła stary pomost dokładnie tam, gdzie powinien być. Był tylko bardziej rozchwiany, niż zapamiętała. Brakowało mu jednej trzeciej desek, więc wyglądał jak uśmiech staruszka, który stracił już część zębów. Na szczęście pale pozostały nienaruszone, solidne, chociaż obrosnięte wodorostami.

Kiela za pomocą wiosła przysunęła łódź do pomostu i zarzuciła cumę na jeden z pali. Szarpnęła linę, żeby przyciągnąć się bliżej i związać węzeł ratowniczy. Pamiętała, jak matka uczyła ją wiązać ten właśnie węzeł na tym właśnie pomoście. Miała wrażenie, jakby to się działo jednocześnie wczoraj i całe wieki temu. Potrząsnęła głową, żeby odpędzić wspomnienie, przelazła przez skrzynie, opuściła żagiel i owinęła go ciasno wokół bomu.

Caz przycupnął na jednej ze skrzyń z książkami.

– Nie zamierzam po tym przechodzić.

– Wolisz płynąć?

– Wolę zostać na łodzi – oznajmił.

Kiela westchnęła i potarła oczy. Nigdy wcześniej nie doświadczyła takiego zmęczenia, przenikającego do szpiku kości. Nawet gdy przesiedziała całą noc nad książkami, nie była w takim stanie. Stres związany z ucieczką i wysiłek, jakiego wymagało żeglowanie przez całą

noc i cały dzień, sprawiały, że czuła się jak książka tak intensywnie czytana, że jej strony się poskręcały, a grzbiet popękał.

– Mogę cię przenieść.

Caz milczał przez chwilę, a potem stwierdził:

– To naruszy moją godność.

– Myślisz, że te krzaki będą z ciebie drwić?

Gdyby miał oczy, teraz chyba by nimi przewrócił.

– Niech będzie. Przenieś mnie. Ale tylko pod warunkiem, że nikomu o tym nie powiesz.

– Komu miałabym powiedzieć? Nie znam tutaj nikogo i nie zamierzam poznawać. – Kiela podniosła go, ostrożnie podtrzymując całą ziemię oblepiającą odsłonięte korzenie. Miała wrażenie, że trzyma bardzo pulchnego i bardzo liściastego dwulatka. Caz zarzucił jej wąsy na ramiona i burknął niechętnie, gdy poprawiła chwyt. – Nie będziemy się rzucać w oczy, zamieszkamy na uboczu i postaramy się unikać kłopotów – zapowiedziała. – Przy odrobinie szczęścia nikt z miejscowych nawet się nie zorientuje, że tutaj jesteśmy.

Postukała stopą w najbliższą deskę. Wydawała się dostatecznie solidna. Kiela ostrożnie przeniosła na nią ciężar i z zadowoleniem stwierdziła, że pomost wytrzymał. Liście Caza przyciskały się płasko do jej pleców. Niosąc go ostrożnie, przechodziła z deski na deskę, sprawdzwszy wytrzymałość każdej z nich, zanim jej zaufała. W końcu dotarła na brzeg.

Caz opuścił się z jej ramion na ziemię, potrząsnął liśćmi i przecesał je wąsem. Wyglądał trochę jak kot wylizujący futro.

– Nie będziemy o tym więcej rozmawiać.

– Oczywiście – zgodziła się Kiela.

Popatrzyła na płataninę zieleni przed sobą. Dawniej była tu ścieżka prowadząca do stopni wykutych w skale, ale teraz widać było tylko kaskadę pnączy zwisających z urwiska. Kiela zmarszczyła brwi

i zaczęła spacerować wzdłuż ściany zieleni. Schody powinny dalej tutaj być, jeśli uda jej się znaleźć... O, są!

Kiela odsunęła nogą kilka pnączy i odsłoniła pierwszy stopień.

– Znalazłam.

– Co takiego znalazłaś? – zapytał Caz.

– Drogę do domu. – Poczuła, że to słowo w niej zawibrowało.

Wspinała się krok po kroku, oczyszczając przed sobą ścieżkę na tyle, na ile zdołała, a Caz deptał jej po piętach. Czasem była w stanie odsłonić tylko kilkanaście centymetrów, ale to wystarczało. Gdy dotarła na szczyt klifu, słońce już całkiem zaszło.

Powitała ich chata otulona srebrzystą szarością zmierzchu. Kiela pragnęła poczuć przypływ triumfu – wróciła do domu, byli bezpieczni i wszystko od teraz już będzie łatwe. Ale chata okazała się niemal tak samo obrośnięta pnączami jak schody. Kiela nie potrafiła powiedzieć, gdzie kończyły się ściany, a gdzie zaczynała roślinność. Jej dawny dom wyglądał, jakby zieleń miała go za chwilę pochłonąć całkowicie.

– Ładna chatka – stwierdził Caz.

– No i kto tu teraz kłamie? – odparła Kiela.

– Ma dach. Oraz ściany.

Pod tym względem miał rację. Mogło być gorzej.

Sowa zahukała zdecydowanie za blisko, aż Kiela podskoczyła. Caz uciekł i schował się za nią. Zmusiła się, żeby oddychać i się uspokoić. Nie wyglądało na to, żeby ktoś mieszkał w chacie, co było dobrą wiadomością. Mogła po powrocie zastać dzikich lokatorów. Albo nowych właścicieli, gdyby miejscowi uznali, że nie żyje już nikt, kto mógłby się upomnieć o ten dom. Nie wiedziała oczywiście, ile myszy, ptaków i innych stworzeń kwaterowało teraz w środku.

Żałowała, że nie przyplęnęli wcześniej, zanim zrobiło się tutaj tak ciemno.

– Chyba powinniśmy tam wejść? – zapytał Caz.

Tak. Może. Nie. Kiela pragnęła uciec na łódź, wrócić do Alyssium i zaszyć się w swojej milej, ciepłej i bezpiecznej komórcie ukrytej wśród regałów z książkami, gdzie wiedziała, czego może się spodziewać każdej nocy i każdego dnia. Co znajdzie, gdy wejdzie do tego domu? Co się stanie, jeśli do niego nie wejdzie? Nie znosiła poczucia niezajomości właściwego wyboru.

Czy popełnilam okropny błąd, przyplływając tutaj?

Sowa znowu zahukała.

– Wchodzimy – oznajmiła Kiela.

Podeszli do drzwi. Przypominało to wchodzenie w paszczę śpiącej bestii. Wejście było uchylone, zablokowane suchymi liśćmi. Kiela ostrożnie odsunęła je stopą i oparła się o drzwi, żeby je popchnąć. Zaskrzypiały głośno, jakby nikt ich nie ruszał od lat, co było całkowicie możliwe.

Kiela weszła do środka i poczekała, aż jej wzrok przywyknie do półmroku. Resztki szarego światła dziennego sączyły się przez te okna, które nie zarosły pnączami. To wystarczyło, żeby dostrzec zarysy – chyba krzeseł oraz stołu. Dopasowywała te kształty do swoich wspomnień i z zaskoczeniem stwierdzała, że wydają się znajome, jak częściowo zapomniana dawna opowieść. Piec kuchenny był... ooo tak, tam właśnie, masywny jak potężna skulona istota, z kominem wystającym z tyłu. W kącie bliżej drzwi powinien stać tapczan – na którym dawniej spała – a z tyłu znajdowała się sypialnia rodziców. Część kuchenna, ze zlewem i oknem z widokiem na ogród, powinna być po lewej stronie, za stołem. Kiela nie widziała jej jednak w ciemności, przez co czuła się, jakby znalazła się w odrealnionym śnie, w którym fragmenty wspomnień mieszały się z cieniami. Zastanawiała się, co Caz myśli o tym miejscu.

– Jeśli wolisz, możemy spędzić noc na łodzi i rozejrzeć się tutaj rano – zaproponowała.

– Spać na łodzi? – oburzył się Caz. – Z rybami pod spodem?

– Naprawdę masz jakiś problem z rybami – stwierdziła Kiela. – Nie miałam o tym pojęcia.

– Słyszałem różne historie – odparł ponuro Caz.

– Słyszałeś? Naprawdę?

Kiela przeszła przez pokój po suchych liściach chrzęszczących jej pod stopami i znalazła tapczan dokładnie tam, gdzie zapamiętała. Wydawał się jednak mniejszy. I bardziej zakurzony. Gdy podniosła i strzepnęła kapę, w powietrze poleciały gałązki, liście i tumany kurzu. Zakasłała.

Rzuciła na bok skłębioną kapę i nacisnęła dłońmi materac. Nie zapadł się, co było dobrym znakiem. Powinien utrzymać jej ciężar, a przykryty kapą nie był aż tak zakurzony, przynajmniej w porównaniu do reszty domu. Zresztą po całej nocy i całym dniu żeglugi Kiela także nie była szczególnie czysta.

– Hej, tu jest dziura w podłodze – odezwał się Caz z zadowoleniem.

– Mogę się w niej zakorzenić na noc.

Kiela zastanawiała się, czy zdoła tutaj zasnąć. Po ucieczce i długiej żegludze powinna być w stanie zasnąć w dowolnym miejscu. *Jeśli myśzy, szopy albo cokolwiek innego zamorduje mnie w nocy, to przynajmniej sobie odpocznę.* Położyła się ostrożnie na niewielkim tapczanie, który zaskrzypiał, ale wytrzymał. Kapa była aksamitnie miękka, zrobiona z wytartej bawełny, a materac się ugiął i utworzył wygodne wgłębienie. Pachniało kurzem i odrobinę różami. Kiela czuła, że mięśnie jej szyi i ramion odrobinę się rozluźniają.

Na zewnątrz zahukała sowa.



Gdy świt zaczął wciskać palce do wnętrza chaty obrośniętej pnączami, Kiela otworzyła oczy. I wrzasnęła, ponieważ zobaczyła mężczyznę

z kosą w rękach stojącego w drzwiach. Spróbowała poderwać się na nogi, ale mały tapczan nie wytrzymał tak szybkiego ruchu. Przechylił się, a Kiela poleciała na podłogę.

Mężczyzna podbiegł do niej.

Kiela znowu wrzasnęła.

Cofnął się szybko. Oparł kosę o ścianę. Podniósł ręce, pokazując dłonie.

– Przepraszam. Bardzo przepraszam. Nie chciałem cię zaskoczyć.

Miał głęboki i kojący głos. Kiela nie widziała go nigdy wcześniej, ale to nic dziwnego, skoro nie było jej tutaj od wieków. Nie nazwałaby go przystojnym, ale nie sprawiał także wrażenia mordercy. Chociaż w sumie nie wiedziała, jakie wrażenie sprawiałby morderca. Mężczyzna był wysoki, co nie wykluczało sadystycznych skłonności. Na pewno musiał się pochylić, żeby przejść przez drzwi. Wydawał się także silniejszy od przeciętnego czytelnika w bibliotece. Sądząc po jego ramionach, potrafiłby podnieść skrzynię z książkami jedną ręką. Albo zmiażdżyć tchawicę małym palcem. Ani jedno, ani drugie nie było uspokajającą myślą.

Kiela podniosła się i szybko rozejrzała po chacie. Nie dostrzegła nigdzie zielistki i poczuła falę paniki rozchodzącą się z brzucha.

– Caz? Caz, wszystko w porządku? Czy on coś ci zrobił?

Mężczyzna, nie opuszczając rąk, odezwał się tym samym cichym, głębokim głosem:

– Nikomu nic nie zrobiłem. Ani nikogo nie widziałem. Kiedy wszedłem, byłaś tu tylko ty.

Serce Kieli tłukło się o żebra jak oszalałe, chociaż mężczyzna nie zrobił niczego groźniejszego poza wejściem do domu, w którym spała, i przerażeniem jej na śmierć. Wystarczająco straszne było to, że był wielkim mężczyzną i znajdował się tutaj. *Poza tym nie widzę Caza.*

– Co ty tu robisz? – zapytała ostro, starając się, żeby jej głos nie zadrżał. – Kim jesteś? Czego chcesz?

– Zamierzałem zadać ci te same pytania – odparł spokojnie. – Ten dom jest od lat opuszczony, ale to nie znaczy, że nie należy do kogoś.

– Należy do mnie – powiedziała Kiela. – To mój dom. Był. Jest.

– Aha – stwierdził mężczyzna.

Czekał na dalsze wyjaśnienia.

– Nazywam się Kiela Orobidan. Moi rodzice mieszkali tutaj, a wcześniej rodzice mojej matki. Tutaj się urodziłam. Wyprowadziliśmy się, kiedy miałam osiem lat. Dziewięć. Ale rodzice nie sprzedali tej chaty. Należy do mnie.

– Aha.

Czy on nie zamierzał mówić nic więcej?

Kątem oka zarejestrowała ledwie dostrzegalne poruszenie i spojrzała na krokwie. Był tam Caz, owinięty wokół jednej z belek pokrytych pajęczynami. Pomachał do niej wężem, a Kiela odetchnęła z ulgą. *Nic mu nie jest. Tylko się schował.* Żałowała, że sama tego nie zrobiła.

– A kim ty jesteś?

– Larran Maver. Mieszkam u podnóża klifu, bliżej wsi. Zauważyłem twoją łódź w zatoczce, więc przyszedłem sprawdzić, kto zajął starą chatę Orobidanów. Tutaj staramy się troszczyć nawzajem o nasz dobytek.

Prowincjonalni wyspiarze troszczą się o siebie nawzajem. Słyszała to tuziny razy jako dziecko. Oddaleni od miast i większych wysp, nie mieli innego wyboru, ale też byli z tego dumni.

Musiała przyznać, że to racjonalne wyjaśnienie jego obecności tutaj. Nie mógł wiedzieć, że ona będzie spała na zakurzonej tapczanie. Mimo to nie podobało jej się, że wypełnia całe drzwi i odcina jej drogę wyjścia.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś wścibski.

Uśmiechnął się, co przemieniło jego twarz z przeciętnej w oszalamiająco przystojną. Zupełnie jakby słońce wyszło zza chmur nad niespokojnym morzem. Poczuła, że mimowolnie odwzajemnia ten uśmiech.

– Jasne – odparł Larran. – Można to też tak nazwać. My wolimy mówić, że jesteśmy dobrymi sąsiadami, ale „wścibscy” zapewne jest równie precyzyjnym określeniem.

Mimo wszystko mógłby być mordercą, napomniała samą siebie Kiela. Nie było żadnych praw mówiących, że niebezpieczni ludzie nie mogą być jednocześnie przystojni. Ale też nie próbował się do niej zbliżać, od kiedy wrzasnęła. W gruncie rzeczy, jeśli się nad tym zastanowić, wydawał się prawie tak samo oszołomiony jak ona.

Nagle stała się boleśnie świadoma faktu, że jej włosy są posklejane z jednej strony, a w ustach ma posmak orzeszków ziemnych. Nie w takim stanie zamierzała poznawać sąsiadów. Właściwie to miała nadzieję, że w ogóle nie będzie ich poznawać. Byłoby znacznie prościej, gdyby pozostała niezauważona. Mniej zmiennych, mniej problemów. Chciała, żeby ten mężczyzna sobie poszedł.

– Co cię sprowadza z powrotem na Caltrey? – zapytał.

Kiela rozważała pół tuzina odpowiedzi, ale ostatecznie wybrała najprostsza i niewymagającą streszczania niedawnych traumatycznych wydarzeń.

– Miałam dość miasta.

– Aha.

Jakimś cudem wydawało się, że uznał tę odpowiedź za racjonalną i wystarczającą.

– Czy potrzebujesz pomocy – rozejrzał się po chacie, jakby katalogował setki rzeczy, przy których mogła potrzebować wsparcia, czyli szacując z grubszą: wszystko – przy przeprowadzce?

Absolutnie nie. Ostatnią rzeczą, jakiej by chciała, było to, żeby został i pomagał. Cała idea powrotu na Caltrey polegała na tym, że Kiela schowałaby się w miejscu, gdzie nie znała nikogo, nikt nie znał jej, a ona, Caz i książki byliby bezpieczni.

– Dziękuję, ale poradzimy... poradzę sobie.

Uniósł brwi, jakby jej nie wierzył, ale nie próbował się kłócić ani jej przekonywać, co doceniała.

– Cóż, gdybyś zmieniła zdanie, mieszkam tuż za lasem, nad morzem. – Machnął ręką na północny zachód. – To farma koni morskich z żółtym domem niedaleko brzegu. Możesz wpaść, kiedy tylko chcesz.

Nie zamierzała tego robić pod żadnym pozorem, ale mimo to mu podziękowała. Lepiej nie traktować nieuprzejmie nowego sąsiada. Szczególnie jeśli dzięki temu szybciej sobie pójdzie.

Wyszedł, zabierając kosę, a Kiela patrzyła przez okno, przez lukę w bluszczu, jak się oddala. Kilka minut później zniknął wśród zieleni.